

Wojciech Stanisławski: Jak uwieść Monizę Clavier

Chociaż indywidualne dobijanie się prawdy ma sens moralny, ale i całkiem realny, przy rozmowie z ignorantem w formacie jeden na jednego – nie sprawdzi się w przypadku prawa wielkich liczb, w sytuacji, gdy nie ma chyba większego dziennika, portalu i stacji telewizyjnej na Zachodzie, która nie powtórzyłaby wielokrotnie frazy o „Polish death camps” – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Historia (nie)pamięci”.

Najpierw, wiele lat temu, jeszcze za komuny, zaczęły pojawiać się wieści, przywożone ze skąpo kapiących wyjazdów i stypendiów razem z gadżetami w rodzaju taśmy klejącej typu scotch, cienkopisów czy torebek strunowych i tak jak one budzące zdumienie połączone z niedowierzaniem: podobno oni nic nie słyszeli o Powstaniu Warszawskim. Podobno ktoś widział podręcznik, gdzie o Piłsudskim napisano per „faszysta”. Podobno jest jakiś taki komiks o wojnie, w którym Polacy są narysowani jako świnie.

Krążyły takie pogłoski, ale nie dawano im wiary, bo przecież w tej samej walizce, w której przylatywał scotch, keczup czy cienkopisy gdzieś na dnie upchnięta była, razem z innymi wydawnictwami emigracyjnymi, relacja Mackiewicza z Katynia, „Głos Ameryki” dudnił co wieczór,

przypominając o operacji Ostra Brama albo sfałszowanym referendum z '46, i w ogóle, gdzie szukać nadziei naprawdę przeciw tym kłamstwom komuny, jeśli nie na Zachodzie?

Później przyszedł rok 1989, wolność i keczup chlusnęły szeroką strugą – i po kilku latach nieograniczonego praktycznie dostępu do podręczników i mediów Zachodu okazało się że rzeczywiście, jest jakiś problem. Że „Boże igrzysko” Normana Daviesa, chociaż świetnie napisane i poczytne, nie jest jedyną wykładnią polskich losów. Inna rzecz, że w ogóle nie ma ich tak dużo, ale jeśli już są, to teksty te dziwnie nie przystają do naszego oglądu czasów II RP, wojny i późniejszych, nie tylko na poziomie rozczulających swą naiwnością błędów faktograficznych czy uchybień w pisowni nazwisk, lecz generalnego „ustawienia narracji”, w której okazujemy się średniej wielkości, dość pyszałkowatym i zmilitaryzowanym państwem „powersalskim”, na terenach którego dokonała się (z mniejszym lub większym udziałem Polaków) Zagłada. Potem zaś stalinizm, destalinizacja, „Solidarność” i pierestrojka.

Konfrontacja z dominującą (jeśli nie powszechnie podzielaną) wizją świata niemal zupełnie niezgodną z naszą („Zalim ja jeden jeno trzeźwy in universo?”) nie jest doświadczeniem przyjemnym i istnieją różne środki, by ten dysonans poznawczy zredukować. Najprościej – przymknąć oczy, i ten tryb działania był jeszcze przed dziesięciu laty niemal powszechny: wzdychano nad kolejną monografią Lucy Dawidowicz, ubolewano nad tym, że „w angielskiej Wikipedii nic nie ma o Koniarach”, cieszą się (i słusznie!) z książki Adama Zamoyskiego, która ukazywała się po angielsku i przyznawano

Departamentowi Promocji MSZ skromny („w granicach możliwości”) budżet, pozwalający na otwarcie kilku wystaw poświęconych twórczości Stanisława Moniuszki oraz tradycjom polskiego pszczelarstwa.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Można redukować ów dystans, ustępując – o pół kroku, krok lub wiorstę. Ta redukcja dokonuje się wówczas jednak najczęściej nie tyle w drodze wulgarnej kapitulacji („z nimi nie wygrasz”), co internalizacji przekonania, że podnoszenie polskich wątków jest co najmniej nudne, jeśli nie w złym guście, i myślę, że ojkofobia, jaką dostrzec można u wielu polskich blogerów, reporterów i publicystów jest wynikiem tej internalizacji. Można też reagować na ten dystans emocjonalnie, nieledwie desperacko, w trybie szarży bądź wytrwałego, indywidualnego wysiłku. Bywało i tak: mam ogromny szacunek dla pana Zbigniewa Osewskiego i pani Janiny Luberda-Zapaśnik, którzy (on – wnuk więźnia Stutthofu, ona – więźniarka niemieckiego obozu przesiedleńczego w Potulicach) jako pierwsi zdecydowali się wytoczyć indywidualne procesy niemieckim wydawcom, używającym terminu „polskie obozy zagłady”. Owoce oburzenia dziesiątków tysięcy mniej wytrwałych internautów, zwykle ograniczających się do podpisu pod petycją lub skopiowania kilku zdań listu, zalegają kosze skrzynek mailowych w największych redakcjach świata lub serwery portalu Avaaz.com, specjalizującego się w obsłudze zbiorowych listów otwartych: nie ma dnia, żeby przez polski Internet nie przemknął jak błyskawica apel, zatytułowany „Zaprotestujmy przeciw przeinaczeniu

prawdy o Wrześniu '39 w programie rozrywkowym telewizji islandzkiej!”. Co dziesiąta osoba otwiera tak zatytułowanego maila, co setna klika w link do podstrony w Avaazie.

Masowej zmiany postaw wśród islandzkich media workerów jak dotąd nie zaobserwowano.

Bo też, chociaż indywidualne dobijanie się prawdy ma sens moralny, ale i całkiem realny, przy rozmowie z ignorantem w formacie jeden na jednego – nie sprawdzi się w przypadku prawa wielkich liczb, w sytuacji, gdy nie ma chyba większego dziennika, portalu i stacji telewizyjnej na Zachodzie, która nie powtórzyłaby wielokrotnie frazy o „Polish death camps” – by w najlepszym razie sprostować ją w kilka tygodni potem na przysłowiowej szesnastej stronie. Być może zresztą kilka udanych procesów pozwoli ograniczyć użycie tej nieszczęsnej frazy: ostatecznie, pod naciskiem Fundacji Kościuszkowskiej, stylebooki „Wall Street Journal”, „New York Timesa” i „San Francisco Chronicle” zostały już w tej kwestii skorygowane.

Problem leży jednak głębiej niż fałszywie przekonanie media workerów w kwestii tego kto i po co wzniosł Auschwitz (przemianowany z „Oświęcima” na listach UNESCO z inicjatywy ministra Tomasza Merty przed 13 laty). Rzecz w istnieniu innych, w najlepszym razie obojętnie-nieżyczliwych w kwestii Polski narracji dotyczących przeszłości. Narracji istniejących przy tym na dwóch poziomach: po pierwsze, rozbudowanej, „domkniętej” i umacnianej za sprawą setek tekstów cząstkowych czy przyczynkarskich narracji akademickiej, często wspomaganej i nagłaśnianej za sprawą instytucji edukacji powszechnej lub innych narzędzi realizowania polityki historycznej. Po wtóre –

W czasach twittera i powszechnego deficytu uwagi narracja rozpaczliwie niespójna i cząstkowa, często ograniczająca się do kilku bon-motów, skojarzeń i odruchowych replik, zupełnie wystarczy, by tworzyć pewien wizerunek

narracji rozpaczliwie niespójnej i cząstkowej, często ograniczającej się do kilku bon-motów, skojarzeń i odruchowych replik. W czasach twittera i powszechnego deficytu uwagi narracja taka zupełnie jednak wystarczy, by stworzyć pewien

wizerunek. Również Polski i polskiej przeszłości – i gdyby z galaktyki popkultury spróbować wyreparować najbardziej obiegowe prawdy na temat Polaków w podobny sposób, jak uczynił to Flaubert w niezrównanym „Słowniku komunałów”, okazałoby się, że Polacy są:

- ▶ odważni i skorzy do bójki;
- ▶ nie lubią Rosjan ani Niemców;
- ▶ okropni antysemita, pomagali nazistom w Zagładzie, a potem wysiedlali w 1968;
- ▶ mieli swojego papieża, bigoci.

Druga z tych narracji nie została dotąd usystematyzowana: pytanie, czy jest to możliwe bez badań opinii publicznej i mediów zakrojonych na niewyobrażalną skalę – i czy konieczne, skoro natura tej narracji jest trochę „sieciowa” niczym grzybnia, a trochę fraktalna, i wystarczy obejrzeć kilka seriali, przekartkować tuzin komiksów, by zyskać

wyobrażenie, o czym mowa. Pierwsza – podsumowana została w tekście, który mimo upływu dwóch lat nic nie stracił na ważności, a który onegdaj pozwoliłem sobie ochrzcić frazą „raport Kornata”, chociaż oficjalny tytuł publikacji brzmi znacznie poważniej: to „II wojna światowa. Historia, która nie chce przeminąć”, publikacja Instytutu Pileckiego (wówczas jeszcze Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami) z 2017, której rdzeń stanowi esej prof. Marka Kornata, podsumowujący stan badań nad przyczynami wybuchu, przebiegiem i skutkami ostatniej wojny światowej we współczesnej historiografii rosyjskiej, niemieckiej oraz francuskiej i angloamerykańskiej. Ten esej – to „raport otwarcia” w zależności od kondycji duchowej czytelnika zatrważający lub mobilizujący: najbardziej nam przychylne emocje wśród obcych badaczy to przychylnie zabarwiona obojętność, tez o polskiej współodpowiedzialności za wybuch wojny jest jednak naprawdę sporo. „Z tą Polską zawsze są kłopoty” wzdycha apokryficzny Roosevelt – i setki nader realnych publicystów, polityków i wykładowców.

Czy można to zmienić? Próba odpowiedzi jest kolejny z opublikowanych niedawno przez Instytut Pileckiego tytułów: monografia Jacoba S. Edera „Lęk przed Holocaustem. RFN a amerykańska pamięć o Holocaustie od lat 70. XX wieku”. To wyczerpujący, szczegółowy, cofający się daleko w rekonstrukcjach zapis inicjatyw, podejmowanych przez najbardziej wpływowe niemieckie kręgi akademickie, fundacje i polityków począwszy od połowy lat 70. w odpowiedzi na przemiany i nasilenie pamięci o Zagładzie na świecie, ale – zgodnie z tytułem – szczególnie w Stanach Zjednoczonych. W dekadę po procesie Eichmanna wizja ludobójstwa, dokonanego przez Niemców, skryształizowała się – i pokolenie ocalałych pragnęło wyciągnąć konsekwencje, szukając i piętnując winowajców. Jedynym rozwiązaniem było dotarcie do środowisk akademickich i medialnych w

Stanach – i przekonanie ich o rzeczywistej przemianie, jaka dokonała się we współczesnej Republice Federalnej Niemiec, o braku jakiegokolwiek „ciągłości mentalnej” między RFN a III Rzeszą. W najdalszej zaś, nigdy chyba do końca nie wypowiedzianym planie – o najdrobniejszym bodaj zniuansowaniu obrazu Zagłady i niemieckiej zaś odpowiedzialności, o wskazaniu nielicznych sprawiedliwych wśród poddanych Hitlera.

*W dekadę po procesie
Eichmanna wizja ludobójstwa,
dokonanego przez Niemców,
skryzalizowała się – i
pokolenie ocalałych pragnęło
wyciągnąć konsekwencje,
szukając i piętnując
winowajców*

Zapis tych działań dokonany przez Edera czyta się z fascynacją podobną tej, z jaką śledzimy dzieje przewlekłych chorób, wielomiesięcznych kampanii zbrojnych, walczących z przeciwnościami ekspedycji czy badań

naukowych. W przypadku RFN lat 70. nie mamy do czynienia z „pospolitym ruszeniem” (większość obywateli nie była świadoma ani skali ani finezji działań, ani stawki, o którą toczyły się akademicko-medialne podchody), nie mamy jednak również do czynienia, wbrew temu, czego chcieliby wyznawcy spiskowych wersji historii, z „konspiracją”, kierowaną przez jedno wszechwiedzące i wszechmocne centrum. Niemiecka „kontrofensywa medialna” lat 70. to raczej policentryczne, „usieciowane” wysiłki kilku środowisk i grup wpływu (czasem konkurujących ze sobą na płaszczyźnie osobistej czy politycznej), które łączy zrozumienie, jak ważne są starania o zmianę wizerunku RFN w USA (szerzej, na świecie) dla niemieckiej racji stanu.

Przenikliwość diagnozy, jakiej dokonały wówczas niemieckie elity, zdolność do podejmowania działań długoplanowych, do mobilizowania w tym celu zasobów finansowych, osobistej energii oraz „narzędzi dystrybucji środków prestiżu” to fenomen, o którym w książce Edera czyta się (niezależnie od pewnej dwuznaczności, jaką zabarwiona jest kampania podjęta przez RFN) z piękną zawiścią. Co powodowało ludźmi tak różnymi, jak Helmut Kohl i grono jego asystentów, kręgi skłonnych do abstrakcyjnego myślenia akademików, grupa finansistów, liczące setki osób środowiska społeczników, angażujących się w ruch wymiany młodzieży? Czy to możliwe, że Niemcom pokolenie temu łatwiej było o porozumienie ponad podziałami niż Polakom dziś?

Metoda starań o przekazanie innym swojej wizji historii, której zarys przekazuje Jacob Eder, to nic innego niż „długi marsz przez instytucje”. Wymaga on elementarnej solidarności podzielonych elit i jednakowego definiowania przez nie celów na poziomie polityki międzynarodowej, o co w III RP ogromnie trudno. Nawet jednak, gdyby taką solidarność udało się wypracować – niewykluczone, że w podobnym „długim marszu” znacznie łatwiej było wygrać pokolenie temu. Dziś bowiem stają do niego już wszyscy – co oznacza rosnącą konkurencję i konieczność konfrontowania się, szukania nowych, efektownych środków dotarcia do świadomości innych. A jeśli tak – czym wysiłek architektów polityki historycznej różnić się będzie za kilka lat od epickich, choć nieznanym większości, heroicznym bojom i wojen na wyniszczenie toczonych między działami marketingu konkurujących koncernów z branży instant food, proszków do prania czy samochodów? Czy dominującą troską osób starających się o przekazanie wizji II wojny światowej uwzględniających polskie doświadczenie będzie product placement?

Nie jest to porywająca perspektywa – ale alternatywą dla niej jest *taniec z dzwonkami u nóg*, taniec tych, którzy przegrali.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego